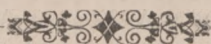


# WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Wodospad.

## WODOSPAD.

Srebrne krople wodospadu  
Z szumem sobie bieżą,  
Zielsk i piasków ani śladu  
Nad tą falą świeżą.

A tuż obok ponad głębią,  
Na stojącej wodzie,

Którą pleśni z zielskiem gnębią,  
Błoto śpi na spodzie.

Nie daj że ty, dziatwo miła,  
Rozleniwieć duszy,  
Aby pleśń ją nie zgnębiła,  
Co się w błotach puszy.

*M...a.*



# PODPORA MATCZYNA,

powieść z czasów dawniejszych.

OFIAROWANA WŁADYSŁOWI RATYŃSKIEMU.

przez M . . a.

(Dalszy ciąg).

— Co ty za jeden? — spytał z mimowolnym wyrazem wyższości, jakby władca w swém państwie, badający obcego przybysza. On odrzekł:

— Ja nieszczęśliwy człowiek, nie wiem sam co począć, aby żyć, jakby miejsca dla mnie nie było na świecie; myślałem, że choć tu je znajdę, słyszałem, że tu łatwiej żyć, a ot ledwo stąpiłem w bór, jużci nowe nieszczęście na mnie...—Przybysz mówił te słowa z jakimś wyrazem gniewu i żółci razem, pocierając ręką gardło i prostując ramiona uciśnione trochę za mocno przed chwilą przez rozgniewanego strzelca.

Wład się zawstydził. Ten obcy człowiek był nieszczęśliwym, uciekł w las tak samo, jak Jan Trzaska przed laty, ale Jana Trzaskę nie tak przyjmowano w puszczy, jak jego syn przyjął tego nowego przybysza. Ta myśl tak głęboko przejęła Włada, że natychmiast rzekł:

— Tu w naszej puszczy łączymy się w bractwa, aby jedni drugich wspierać mogli; starsi pilnują porządku i muszą wszystkich znać, i wyznaczają nowym części puszczy, gdzie jeszcze nikt nie pracuje. Stary Pac jest tu nad nami takim starszym, czy byłeś już u niego?

— Nie wiem, gdzie się obrócić — odrzekł chmurno nieznamy — nie wiem, gdzie ten Pac. Idę puszcza, to i idę, gdzie oczy poniosą, a owoc leśny jem...

— Siadaj! — rzekł Wład i siadłszy przy nim, podał mu utworzoną torbę swoją; żal ścisnął mu serce na widok chciwości, z jaką tamten rzucił się na proste myśliwskie zapasy, chleb, ser, słoninę. Wład sam głodny był mocno, bo nie jadł jeszcze dnia tego, ale z rozkoszą oddawał swą żywność zgłodniałemu nieszczęśliwemu. Po chwili przyniósł mu wody z pobliskiego strumienia.

— Pójdź — rzekł, gdy jadło znikło — zaprowadzę cię do naszego starszego, abyś się nie błąkał. Przez ciebie pierwszy raz w życiu straciłem upatrzoną zwierzynę, niechże za to zyskam sąsiada.

Przez sąsiada rozumiał podobno przyjaciela.

— Daleko? — mruknął przybysz, spoglądając z podełba.

— Ze dwie mile puszcza.

— Nie znajdę — rzekł tamten i odwijając odzienie nie pokazał nogę zranioną mocno i spuchniętą. — Nie umiem chodzić po tych wertepach, upadłem... zraniłem się.

— I nie na żarty — potwierdził Wład — ty wcale iść nie możesz, dobrze jeżeli za tydzień będziesz mógł chodzić. Cóż tu z sobą zrobisz, skoro iść nie możesz? Najbliższe ludzkie mieszkanie, to moja buda <sup>\*)</sup>, a i to o parę wiorst, choćby do czółna tylko...

— Więc zginę tu, jak pies! jak moje dzieci zginęły tam! — wybuchnął nagle przybysz i dodał cicho przez zęby — a ty będziesz bujał po świecie!

Niepodobna wypowiedzieć, ile skrytęj złości kryło się w tym pomruku ostatnim. Dziki, bystry Wład, spojrział na schylonego i opatrującego swą nogę człowieka i pomyślał:

— Nieszczęśliwy! zazdrości mi zdrowia! może on i celował istotnie do mnie, bo umierał z głodu, a z torby mojej wyglądał chleb, rozpacz złym jest doradcą.

— No! — rzekł Wład głośno — ty nie umiesz rany opatrzyć i ręce ci się czegoś trzęsą, ja ci to zrobię. — To mówiąc poszedł jeszcze raz po wodę, a wróciwszy, ukląkł przed siedzącym na kłodzie człowiekiem i najprzód obmył jego rany, a potem opatrzył je maścią, i szarpkami, i płótnem, które zawsze miał w torbie, bo mu często dla niego samego bywały przydatne. Gdy tak klęczał schylony, tymczasem obcy przybysz spoglądał na niego z dziwnym na twarzy wyrazem nienawiści i pomieszaną jakiegoś. Raz nawet ręka zaplątała mu się pomiędzy składy sukmany, wyjął z pomiędzy nich niedługi ale ostry nóż, i podniósł go nad plecami schylonego nad jego nogą Włada, kierując ostrym końcem ku tym plecocom... brakło jednego poruszenia, a nóż zatonałby w sercu. Ale wtém oczy przybysza roziskrzzone padły na własną jego nogę, na którą Wład troskliwie w tój samej chwili plaster przykładał... Nóż cofnął się jednak z wolna, trzymająca go ręka zadrżała i ukryła się wraz z nim w odzieniu.

— Czego tak drżysz? musiałeś przeziębnać, może będziesz miał febrę? — rzekł Wład, podnosząc głowę i patrząc mu w oczy badawczo. Nieznajomy ruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że nie wie; oczy ponure, zasze krwią, jak u rozżłoszczonego zwierzęcia, wlepił w ziemię, unikając w ten sposób wzroku Włada. Tak czynił od początku, i przybierał pozór głupowaty, a ponurego rozżalenia, gdy czuł ten wzrok na sobie. Ubrany był niechlujnie, nawpół po myśli-

\*) Wyrażenie miejscowe.



wsku, choć sukmanę miał wieśniaczą. Był nieduzego wzrostu i mizerny.

— Ha — rzekł Wład, skończywszy swą miłosierną robotę — niema co myśleć, ażeby cię samego zostawić; a konia niepodobna tu wprowadzić, choćym chciał, cóż mam robić, wezmę cię chyba na plecy i zaniosę do domu! A jak się zowiesz? jak wyzdrowiejesz, pójdziemy do starszego.

Mówiąc te słowa, Wład nadstawił szerokie swe plecy. Nieznajomy cofnął się gwałtownie, a na twarz wybił mu znów dziwny wyraz pomieszanania, nawet wstydu jakiegoś.

— Zowię się Marek Saund... — rzekł drżącym głosem.

— No! a trzymajże się! — zawołał Wład, wziął go na plecy i ruszył w drogę. Marek zdawał się w pierwszej chwili jakby niezupełnie przytomny, nagle wściekły gniew w nim zawrzał i na rozkaz, aby się trzymał, obiema rękami rozłożonymi chwycił za szyję noszącego go Włada; niema żadnej wątpliwości, że ścisnawszy za gardło byłby go zduśił, gdyby w tejże chwili Wład nie krzyknął wesoło, puszczając się w drogę:

— Jazda, bracie!

Marek zatrząsł się na wyraz: bracie, drgające ręce opadły mu na chwilę, a potem ujął się niemi dźwigającego tak, aby mu ułatwić dźwiganie... Wład zaczynał już czuć jakieś współczucie dla tego znajdy nędznego, jakiego często ludzie silni doznają dla tych, których wspierają. Młody siłacz szedł pewnym krokiem, wybierając jednakże najwygodniejszą drogę. Doszedł tak w godzinę do tego strumienia, który Stasia nazywała: naszą rzeką. Czólno stało na swém miejscu, Wład złożył w nie Marka, wskoczył sam i odbił od brzegu. Przybywszy na śliczną Okrągłą łąkę, Marek aż krzyknął:

— To ty tutaj mieszkasz!

Wład, zajęty dźwiganie go z czólno, nie zauważył straszego spojrzenia tego człowieka. Gdyby płomień nienawiści, we wzroku gorejący, mógł ogień rozniecać, piękny dworek, ciężka praca Jana Trzaski, musiały być spłonąć w tej chwili pod spojrzeniem Marka. Usadowiono go w maleńkiej przybudówce, już Włada roboty, nakarmiono, napojono, i pielęgowano. On, gdy nikt nań nie patrzył, śledził wszystkich i wszystko chciwem, krwią nabiegłem okiem, i zgrzytał zębami. W nocy, gdy wszyscy już spoczywali po pracy, on wstał. Nogę miał okrutnie bolącą i spuchniętą, mimo to dowłókł się do komina, odgrzebał zarzewie, nakryte starannie popiołem, rozżarzył je, i chciał nakłść gorejących węgli w siano świeże na swoim łóżku... Nagle wstrzymał się, mrużąc:

— Przybudówka gotowa się spalić, a oni mogliby uciec, bo śpią na drugim końcu dworku; nie tak trzeba zrobić; trzeba im bliżej podłożyć; moje dzieci zmarły z zimna, niechże *jego* dzieci mają za to ciepło!...

Tak mrużąc, Marek wykrzywił usta i wyszczerzał zęby, jak hyena do zdobyczy; nazywają to uśmiechem hyeny, ale Marek trząsł się przytém i pewno miał febrę. Nakładł węgli w garncezek stojący na kominku, zrobił spory wiecheć z siana, uchylił drzwi i patrząc na okna izdebek sypialnych rodziny Trzasków, zabierał się iść tam... szedł, ale mu było jakoś niesporo. Wyglądał ze drzwi i cofał się, bo jakiś cień mu zamajaczył, noga bolała go coraz straszliwiej, jednak już stawił ją za progiem, gdy uczył, że go ktoś chwycił za włosy; zatrząsł się, garnek i siano z rąk mu wypadły, ale nie było nikogo, tylko sukmanka, wisząca blisko drzwi ciasnej izdebki, zawadziła mu o głowę. Tę sukmankę zdjął Wład z własnego grzbietu przed godziną, od chorego odchodząc i mówił, wieszając ją u drzwi na zawiasie:

— Jeżeli ci zimno było w nocy pod kołdrą, to nakryj się jeszcze tą sukmanką.

Marek przypomniał sobie nagle w tej chwili te słowa Włada, i z wielkim gniewem zerwał sukmankę i w kąć ją rzucił. Drżał cały i z febrą, i ze strachu, którego go nabawiło owo schwytywanie za głowę, i jeszcze z czegoś, czego sam nie rozumiał:

— Trzeba to skończyć, wszak po to tu przyszedłem — mówił sam do siebie, ale noga mu służyć nie chciała. Nagle cisnął garncezek, podniósłszy go z ziemi, w komin, — Muszę zaczekać aż mi noga trochę wydobreje! — mruknął — teraz nie mam siły, ale muszę, muszę, bo moje dziecińy wołają o pomstę!

Mówiąc to prawie nieprzytomnie, Marek chwycił odrzuconą przed chwilą sukmanę Włada, otulił się nią, wgramolił się do łóżka i nakrył ciepłą kołdrą... wszystko napróżno: trząsł się, i sam nie wiedział, co się z nim działo. Bardzo to jednak było naturalnie, bo, z jednego kąta malutkiej izdebki wyglądał nań sam młody strzelec Wład i mówił ze smutkiem:

— Byłem głodny, a oddałem ci swoje żywność; byłem zmordowany, a dźwigałem cię na swoich ramionach; mierzyłeś do mnie ze strzelby, a jam puścił cię, mając w ręce; myłem i opatrywałem nogę twą zranioną, a ty za to godziłeś mi nożem w serce; gdy dźwigałem cię, ty chciałeś mię udusić, a teraz chcesz spalić mię z rodziną moją; za co?...

— Za to, że moje dzieci zmarły z zimna! — krzyczał Marek — niech wam za to będzie ciepło!



Wszak ja dobrze robie, kiedy oddaje wam dobrem za zle! — i wykrzywił się uśmiechem hyeny.

Ale z pod łóżka Marka jęk dał się słyszeć i gramoliło się coś tam, gramoliło, aż wygramoliła się okropność, człowiek nożem z tyłu, aż na wylot prawie, przez serce przeszty!... miał na sobie ramię odcięte od torby, w jakiej ludzie wożą pieniądze i papiery, i kawałek dewizki u rozerwanej kamizelki...

— A ja co ci zrobiłem? — zapytał Marka, i wpatrzył się weń okropnymi dołami bez oczu...

Marek wrzasnął, bo spojrzenie tych strasznych oczu bez oczu sparzyło go. Ale widmo nie zlekło się wrzasku, patrzyło i piekło wciąż Marka palącym wzrokiem bez oczu. On chciał je odepchnąć rękami, jak szalony, ale napróżno; i płomień coraz silniejszy zaczynał go zewsząd ogarniać...

— Siostrzyczko Stasiu! wstawaj i idź z domu do pani Wandy, bo przybudówka się pali i dom może spłonać, a ja tam zaraz za tobą matkę przyprowadzę! — zawołał Wład, przebiegając przez izdebkę siostry. Ona zerwała się, odziała na pręde i biegła za nim, zamiast do sąsiadów.

— Matko, nie lękaj się, ale wstań! — mówił znowu Wład do matki.

Ona przeszła już w życiu tak straszne rzeczy, że teraz dość obojętnie patrzyła na inne klęski, zwłaszcza, gdy oboje dzieci zdrowe i całe stały przed nią. Wstała i zarzuciła na siebie odzienie. Wład wziął ją pod rękę, siostrę za rękę i szedł z nimi przez mostek, wołając głośno na Stacha owym dźwięcznym, leśnym okrzykiem, jakim lud nawołuje się po lasach. Pomimo późnej nocy, Stach, czujny ojciec rodziny, wypadł ze swego domu, spojrzał, i wszystko zrozumiał. Krzyknął na żonę, ale ona już budziła i odziewała dzieci, wybiegłszy naprzód za nim na chwilę.

— Trzymajcie się razem! — powiedzieli mężczyźni do kobiet — nie ratujcie nic, tylko siebie pilnujcie, jeśli wam życie wasze i nasze miłe, a jeśli i ten dom zaczął płonać, wychodźcie natychmiast i siedźcie w altance za sadem. Bóg z wami, my musimy pożaru pilnować, żeby się na puszcę z wiatrem nie dostał, bo wtedy byłoby źle.

Kobiety i dzieci, przywykłe do niebezpieczeństwa puszczy, zamiast krzyczeć, płakać, lub czepiać się swych obrońców, czémby im przeszkadzały tylko, były posłuszne w milczeniu. Pani Wanda naturalnie, jako najsilniejsza, objęła nad nimi natychmiast jakby pewien rodzaj dowództwa. To zjawisko obejmowania władzy w chwili niebezpieczeństwa przez najsilniejszego i poddawanie mu się innych, właściwem jest ludziom zagrożonym niebezpieczeństwem, jeżeli ci ludzie mają zdrowe poczucie własnego dobra.

Wład, okręciwszy się o ile było można wielką płachtą w strumieniu zmaczaną, stał już na dachu własnego domostwa, rąbiąc je potężnymi ciosami siekiery, aby przerwać ogień, odcinając to, co już zaczynało płonać, ponieważ dotykało płonącej przybudówki. Stach, urządziwszy łańcuch z dwóch tęgich dziewczyn, pomagających mu w gospodarstwie, sam stał na drabinie, chwycił od nich ciężkie konwie wody, czerpanej w strumieniu i lał na zagrożoną część dworku. Taka robota trwała czas niejaki, aż nareszcie:

— Hu ha! — zakrzyknął Wład, po swojemu najweselszy w niebezpieczeństwie, pozwalającem mu użytkować z pełni sił młodzieńczych. — Ściana dworku, którą dziś rozwaliłem, naprawię w dni parę, a przybudówka niech się tam sobie spali; wybuduję we trzy dni lepszą!

Wład wołał tak, stojąc na dachu dworku i wywijając siekierą ponad płonąca o kilka kroków od niego przybudówką. Spoglądał przytém w stronę altanki za sadem, i dla tego wołał, aby uspokoić matkę tym okrzykiem zwycięstwa nad niebezpiecznym żywiołem. Jakoż kobiety i dzieci, usłyszawszy go, przyszły uspokojone już zupełnie, zawsze pod wodzą pani Wandy przypatrując się z daleka. Przybudówka płonęła wśród jasnej nocy, jak wielki stos do pieczenia całkowitych dzików na jaką ucztę łowiecką. Gdy wtém straszny jęk rozległ się z głębin tego stosu... jęk taki, jakim chyba potępienicy nieszczęśni odzywać się muszą z piekielnych czeluści...

— Wielki Boże! tam jest ten człowiek, któremu wczoraj dałem gościnność! ja zapomniałem o nim! — krzyknął Wład i rzucił się w stos płonący.

Strasliwy krzyk rozległ się teraz po Okrągłej łące. Pani Wanda chwyciła wpół oszalałą Trzaskową, wstrzymując ją wszystkimi siłami od rzućenia się za synem, dzieci czepiały się ze wszystkich stron ukochanej Stasi, nie puszczając ję za bratem i matką. Przez chwilę sądny dzień stał się na Okrągłej łące. Ale po tej chwili z ognistego stosu wypadł człowiek, trzymający drugiego na plecach; obaj byli w płomieniach. Kilka konwi wody natychmiast lunęło na nich, ale biegnący nie zatrzymał się, aż skoczył w blizki strumień... Zanurzwszy się wraz ze swym ciężarem, dopięrc wyniósł go ponad wodę i podał Stachowi, stojącemu na brzegu, krzyząc przytém:

— Nic mi nie jest, matko! i wyskoczył na trawę, ale wyskoczywszy pął i omdlał...

Omdlenie krótko trwało przy umiejętnem staraniu kobiet, i Wład, zaledwie otworzywszy oczy, zerwał się, wołając:

— On! gdzie on! ja zapomniałem o nim, przyjąwszy go pod swój dach!



On, to jest Marek, leżał tuż obok na łące nad strumieniem. Nie zbrakło mu na staraniach; ale był poparzony tak okrutnie, że mała co do utrzymania go przy życiu była nadzieja. Był prawie obłąkany bólem terażniejszym i poprzednią gorączką i krzyczał, odpychając wszystkich:

— Precz! precz! przekłęci! przekłęci ludzie! Czarownicy jesteście! Chciałem was spalić, garnek mi upadł, węgle rozsypały się z garnka... Precz! Przyszedłem, żeby się pomścić na was i zraniłem nogę idąc! Chciałem go zabić, on niósł mię na plecach; chleb swój mi oddał, z ognia mnie wyrwał. Ja go chciałem spalić, tamten zabity z rzemieniem od torby uciętym patrzył na mnie, więc nie mogłem i tylko siebie spaliłem. Uch! ratujcie! Przekłęci bądźcie, wy, jego dzieci! przez niego moje dzieci zmarły z zimna, niech jego dzieciom będzie ciepło! hi hi hi!...

(D. c. n.).

## . Rodzina roślin psiankowatych.

### Pogadanka naukowa.

Kartofel nie jest krajową naszą rośliną, a jednak z pewnością łatwiej go znajdziecie i rozpoznacie od innych, dziko rosnących psianek. Może też dotąd i nie domyślaliście się nawet, że tak często jadacie psiankę, bo taką nazwę naukową, po łacinie *Solanum tuberosum*, nosi smaczny i pożyteczny kartofel. Przypatrzmy się, jak wygląda kwiat kartofli, znajdziemy w nim cechy, całej rodzinie wspólne. Korona foremna ma pięć śpiczastych kłapek, naprzemianległych z działkami kielicha, pręcików także pięć, nitki ich są krótkie, niewidoczne, za to pylniki duże sterczą stożkowato do góry, a stulając się z sobą, tworzą ten żółty, wystający środek kwiatu. Wyżej troszeczkę wznosi się znamię na swojej szyjce. Po okwitnieniu zostaje mała jagódka, w której mieszczą się liczne ziarenka, do drobnuteńkich fasolek podobne. Rodzina psiankowatych dzieli się na dwie gromadki, u jednych owoc jest jagodą, u drugich torebką. Jak widzimy, kartofle do pierwszego działu należą.

Pożyteczna ta roślina dziś jest tak rozpowszechniona w całej Europie, że w wielu okolicach ubogim ludziom chleb zastępuje, a jednak od stu lat dopiero się na niej poznano. Wszyscy mieli z razu do kartofli jakieś dziwne uprzedzenie. Anglicy pierwsi podobno sprowadzili je z Ameryki, gdzie już oddawna były uprawiane w Peru i w Chili. Nikt jednak ani patrzeć na nie nie chciał. Darmo królowa angielska i król francuzki kazali na stołach swoich podawać nową, osobiwą

potrawę, i sami skosztować jej raczyli, ubożsi ludzie nie dawali się przekonać. Nakoniec uczony chemik francuzki, Parmentier, wziął w swoją opiekę zapoznane kartofle i z taką wytrwałością je uprawiał, sławiąc wszędzie ich przymioty, tak ich bronił gorliwie, że oddano im wreszcie sprawiedliwość. Trzeba też dodać, że dużo się do tego przyczyniła potrzeba. Były to czasy rewolucyi francuzkiej, po pierwszych wojnach wybuchł głód straszliwy, nie pora było przebierać w żywności, spróbowano więc kartofli, a że się okazały i smaczne i pożywne, już się i później z nimi nie rozstano.

Zapoznawszy się z poczciwym kartoflem tylko, trudno byłoby uwierzyć, że rodzina psianek najgorszej sławy używa w państwie roślinném, pomiędzy nimi bowiem znajdują się najstraszniejsze trucizny. A trzeba przyznać, że i ta perła rodziny niezupełnie odbiegła od reszty. Liście i jagódki kartofli mają w sobie odrobinę pierwiastku trującego, zwanego *solaniną*, a i bulwy, gdy czasem w piwnicy rozrastać się zaczęły, są bardzo niezdrowe, bo się w nich wówczas ów pierwiastek trujący rozwija. Nawet i młode kartofle bywają niekiedy szkodliwe z tegoż samego powodu.

Wszystkie rośliny psiankowe mają postać posępną, jak trafnie pewien botanik powiedział, podejrzaną, a podejrzenie w tym razie wcale nie myli. Powierzchność kartofli nie odbiega bynajmniej od tego ogólnego typu, liście ich ciemne, szorstkie, poszarpane, nie są wcale ładne, a kwiatki, czy białe, czy lila, zawsze wyglądają, jakby osmolone. Gdybyśmy nie wiedzieli, że ten krzak ma pod ziemią inne, przyjemniejsze gałęzie, postać jego ponura mogłaby tylko wstręt w nas budzić. Niedziw, że ludzie tak długo tej podejrzanej powierzchni ufać nie chcieli.

Są jednak i inne psianki, którym się należy zaszczytne miejsce obok kartofli. Pomidor, w naukowym języku *Lycopersicum esculentum*, także z Ameryki pochodzi, kwaskowaty jego owoc nie małe ma znaczenie w przyprawach kuchennych. Psianka oberżynka, *Solanum esculentum*, pochodzi z Indyj, uprawianą jest w Europie południowej; owoc jej duży, mięsisty, po ugotowaniu bardzo jest smaczny. Już mniej łagodnie się przedstawia pieprzowiec, *Capsicum annum*, u nas pospolicie zwany pieprzem tureckim, chociaż wcale nie z Turcyi, lecz z Ameryki ród swój wiezie. Te duże czerwone jagody, mające kształt woreczków, ostre są i piekące, zawsze jednak przydać się mogą do różnych przypraw i trudno im odmówić pewnej pożyteczności.

Wyliczyliśmy już podobno wszystkie dobre strony tej rodziny, gorszych, niestety! będzie da-



leko więcj. Z rosnących dziko w kraju naszym, najpospolitszą jest psianka czarno-jagodna, *Solanum nigrum*, można ją napotkać po wsiach przy płotach, w okolicach mieszkań. Liście ma wycinane w zęby falisto, kwiatki białe, podobne nieco do kartoflowych, jagódki czarne, trujące, nieraz świnie, gdy się ich dużo najedzą, odchorować muszą swoje żarłoctwo. Psianka żółto-jagodna tylko jagodą żółtą od poprzedzającej się różni, rośnie w Galicyi i na Podolu.

Psianka słodkogorz, *S. dulcamara*, tak nazwana, bo młode jęj gałązki rozgryzione z razu gorzki smak mają, potem słodkawy. Jest to krzewina wijąca się w miejscach wilgotnych, po zaroślach, kwiatki jęj fiołkowe w baldaszkogrona są zebrane, korona ma działki śpiczaste, głęboko wcięte, pylniki żółte stulone. Jagódki czerwone podługowate, nie są wprawdzie gwałtowną trucizną, ale zawsze działwę ostrzegać przed niemi należy, bo sprawiają wymioty i boleści w żołądku.

Workowiśnia pęcherzasta, *Physalis Alkekengi*, pochodzi właściwie z Chin, lecz w niektórych okolicach w Europie, a i u nas na Podolu i w Galicyi dziko wyrasta na wzgórkach wystawionych na słońce, przy płotach i po ogrodach. Kwiaty ma brudno-białe, żółtawe prawie, wewnątrz zielonkawe. Kielich, zrazu zielony, przy dojrzaniu jagody wzdyma się jak pęcherz, przechodzi w barwę szkarłatną i otula nakształt woreczka jagodę, także czerwoną, do wiśni podobną.

Kolcowój zwyczajny, *Lycium vulgare*, ma pochodzić z Azji, ale w kraju naszym w wielu miejscach tak się rozrasta po ogrodach, zwłaszcza koło płotów, że go się czasem pozbyć trudno. Gałązki ma długie, wysmukłe, nieco cierniste, listeczki podłużne, kwiaty brudno fiołkowe, czasem białe, o białych pylnikach, jagódki podłużne, czerwono-pomarańczowe. Roślina ta wygląda daleko pocziwiej od innych pokrewnych sobie i jest rzeczywiście nieszkodliwa.

Ale cóż znaczy jeden wyjątek w obec tylu potworów, jednych od drugich straszniejszych? Złowroga nazwa belladonny nieraz zapewne obiała się wam o uszy. Powiadają, że damy włoskie używały niegdyś tęj straszliwęj trucizny jako kosmetyku, ztąd nazwa *Bella donna*, piękna dama. Odwaga to była nielada, gdyż w całej Europie niema rośliny bardziej jadowitęj, jak pokrzyk wilcza jagoda, *Atropa Belladonna*. Jest to roślina zielna, dorastająca czasem półtora łokcia wysokości, przebywa zwykle w leśnych i górzystych okolicach środkowęj Europy, u nas ma się znajdować w górach S-to Krzyzkich. Łodyga jęj kosmata, liście podłużne, o brzegach równych, także omszone, a za potarciem niemily, ćkliwe zapach

wydające, kwiaty dzwonkowate, brudno-fioletowe, zwisłe z kątów liści, wszystko to wygląda dziwnie ponuro i odstręczająco. Ale gdy potem w tych kielichach zielonych, na pięć śpiczastych działek rozciętych, ukażą się okrągłe, czarne jagody, zupełnie do czeresien podobne, często, nadto często, umieją zwabić łatwowiernych. We Francyi zdradziecka ta roślina jest bardzo pospolitą i na nieszczęście sadowi się zazwyczaj w okolicach mieszkań ludzkich, w rozpadlinach starych murów, na gruzach i zwaliskach. Tam nieraz dzieci wiejskie, zwabione ponętną powierzchownością tych jagódek, padają ofiarą swego łakomstwa.

Kilkadziesiąt lat temu użyto do pielenia roślin w ogrodzie botanicznym w Paryżu sieroty z zakładu miłosierdzia. Były tam w pobliżu grządk, zasadzone ziołami lekarskimi, a między niemi i nieszczęsne jagody belladonny, które obok swych jadowitych własności, mają i lecznicze, gdy są użyte umiejętnie. Straszna to była pokusa dla nieroztropnych dzieci, uległy jęj wszystkie, a było ich czternaścioro, słodkawy smak owoców nie mógł ich ostrzedz o niebezpieczeństwie, w kilka godzin zginęły wszystkie w najokropniejszych męczarniach.

W czasie wojen Napoleońskich stu pięćdziesięciu żołnierzy struło się w okolicach Drezna, szukając orzeźwienia w jagodach belladonny. Wszyscy zginęli, a objawy otrucia były straszliwe. Jedni padli na miejscu, jakby piorunem rażeni, inni wlekli się czas jakiś niedołużnie i dogorywali w zaroślach, inni nakoniec wpadli w jakiś rodzaj szaleństwa: rzucali się konwulsyjnie, krzyczeli przeraźliwie, biegali po lesie, jakby ich goniły okropne widziadła. Przez całą noc w obozie panowało zamieszanie; co chwila szaleńcy, zwabieni ogniem biwaków, wypadali z wrzaskiem lub śmiechem przerażającym, z twarzą zakrwawioną i podartą cierniami, niektórzy w ogień się rzucali nieprzytomnie.

Równie gwałtowną trucizną jest dziwostręt, czyli mandragora, *Atropa mandragora*, rosnąca w południowęj Europie. Starożytni przypisywali tęj roślinie różne czarodziejskie, tajemnicze własności. Bajkom tym i w wiekach średnich wierzono powszechnie. Korzeń mandragory rozdwa się widłowato, ztąd niejaki podobieństwo do nóg ludzkich. Dość już tego dla bujnęj wyobraźni, aby snuć najdziwaczniejsze wnioski. Utrzymywano więc, że ta roślina czuje, a nawet krzyczy, jak człowiek; wykopując ją w różnych celach czarnoksiężkich, trzymano się zabawnych przepisów, zatykano sobie uszy, żeby nie słyszeć skarg i przekleństw zagniewanego ziela, co miało być bardzo niebezpieczne; używano też dowcipnego podstępu:



odgrzebywano do połowy korzenie, uwiązywano do nich psa, pies więc wyrwał je ostatecznie, i na niego spadały złorzeczenia i zemsta mandragory.

Jadowita ta roślina nie mało złego sprawić może i bez czarodziejstwa. Dawni historycy opowiadają, że wódz kartagiński Hannibal pokonał z jej pomocą zbuntowanych barbarzyńców. Stoczywszy małą utarczkę, udał, że się cofa, a na placu bitwy zostawił niby z pośpiechu naczynia winem napełnione. Barbarzyńcy, uradowani łatwym tryumfem, zaczęli się raczyć tём zdradzieckim winem, a gdy Hannibal powrócił i natarł na nowo, nie napotkał już żadnego oporu.

Pozostała nam jeszcze do przejrzania druga gromadka psiankowatych, odznaczająca się nasieniem torebkowym. Znajdziemy tu także znajomości, ale sądzimy że wszyscy czytelnicy naszego Pisma należą do *niepalących*, możemy więc, nie obrażając nikogo, policzyć tytuń do roślin nieużytecznych a nawet szkodliwych.

I ta roślina psiankowata przybyła do Europy z Ameryki wraz z kartoflami, chociaż niektórzy utrzymują, że Chińczycy, którzy w wielu rzeczach wyprzedzili Europę, mieli też wcześniej od niej swój własny tytuń. Towarzysze Krzysztofa Kolumba, obaczywszy po raz pierwszy krajowców amerykańskich używających tego przysmaku, z podziwieniem opowiadali w listach pisanych do znajomych w Hiszpanii, że ten lud dziki szczególnie ma upodobanie w jakimś obrzydliwym, cuchnącym zielsku i w najdziwaczniejszy sposób tój przyjemności używa. Jedni naprzykład zapalają zwinięte w trąbkę zeschnięte liście i wciągają dym do ust lub do nozdrzy; inni mają rurki gliniane, małą czareczką zakończone, przyrząd ten napełniają posiekanym zielskiem, które kurząc się powoli wydaje obfitość dymu. Inni nakoniec liście sproszkowane w nos zapychają, albo skręcają w kulki i żują. Któżby był wówczas uwierzył, że cywilizowana Europa wszystkie te barbarzyńskie zwyczaje najdokładniej naśladować miała, że nieraz młodzież, chcąc dowieść dojrzałości i rozsądku, gwałt sobie zadawać będzie, zaciągając się cuchnącym dymem, bez względu na to, że oprócz śmieszności naraża się na oczywiste niebezpieczeństwo, bo jak to zaraz obaczymy, tytuń nie odrodził się wcale od jadowitej swój rodziny.

Nazwa naukowa, *Nicotiana tabacos*, wzięta jest w części od nazwiska Nicota, posła francuzkiego przy dworze portugalskim, który najpierw rozpowszechnił używanie tytoniu, w części zaś od wyrazu amerykańskiego *tabaco*. Nicot przesłał królowej Katarzynie Medycejskiej, jako lekarstwo od migreny, ozdobne pudełko napełnione tabaką, a pochlebni dworacy przezwali zieleń, które tego

zaszczytu dostąpiło, zieleń królowej. Chciano je potem nazwać Katarzynką lub Medyceuszką, ale nazwisko Nicota przemogło i utrzymało się ostatecznie w terminologii naukowej. Na innych dworach jednak tytuń nie miał takiego powodzenia, niektórzy monarchowie straszliwe kary naznaczali za palenie fajki lub zażywanie tabaki. W Turcyi naprzykład śmiercią karano za to, tłuczono w moździerzach winowajców, a co najmniej ncinano im nosy. Pewien sułtan użył znów łagodniejszego sposobu dla odstręczenia swoich poddanych od tego zwyczaju. Zaprosił raz do siebie najznakomitszych dygnitarzy, kazał podać fajki i zasiadł z nimi do palenia. Sam jednak tylko udawał, że pali, a po pewnym przeciągu czasu zapytał swoich gości, jak im smakuje tytuń. Wyborny, wyśmienity! zawołali wszyscy, bo jak tu sułtańskiego tytoniu nie pochwalić. Sułtan wtedy zaśmiał się na całe gardło. Wiecież wy, co to za tytuń, zapytał; to jest gnoj koński suszony. Możnaż rozkoszować się dymem, który się nie daje odróżnić zapachem od gnoju? Nic jednak nie pomogły ani okrutne kary, ani żadne odstręczenia, a tytuń rozpowszechnił się wszędzie daleko łatwiej od kartofli. Rządy też zaprzestały prześladowania, a natomiast nałożyły na ten produkt znaczne podatki, które są dotąd ważnym źródłem dochodu dla państw.

Przypatrzmy się teraz, jak wygląda ta wsławiona roślina, którą obecnie w całej Europie uprawiają. Najwytworniejszy gatunek, tytuń multan, czyli aprak, ma kwiat różowy, kielich podłużny, o pięciu wcięciach, koronę długą, wysmukłą, lejkowatą, z brzegiem pięcioklapkowym, pręcików pięć, o nitkach dłuższych i nie tak stulonych, jak u kartofli, liczne, drobne nasionka zawarte są w torebce. Pospolitszy tytuń bakun ma kwiaty podobnego kształtu, zielonawo żółte.

Posłuchajcie jeszcze na zakończenie, jakie mogą być skutki nadmiernego użycia tytoniu. Pewien rzemieślnik francuzki założył się, że wypali dwadzieścia pięć fajek bez przerwy. Wygrał wprawdzie ten niedorzeczny zakład, ale takiego doznał odurzenia, wymiotów, tak się rozchorował na straszny ból głowy, że przez ośmnaście miesięcy nie mógł przyjść do siebie. Odzwyczaj się wówczas raz na zawsze od nałogu palenia, a sam widok fajki wstręt w nim budził. Smutniej się zakończył inny zakład podobny pomiędzy dwoma studentami. Założyli się o to, który potrafi dłużej palić bez przerwy; całą noc nie odstąpili fajek, a nazajutrz obaj zachorowali śmiertelnie i pomarli.

Nawet zewnętrzne dotknięcie liści tytoniowych może być szkodliwe. Pewien rzemieślnik owinął całe ciało temi liśćmi i przekradł je tym sposobem



przez granicę. Szybki i energiczny ratunek zaledwie zdołał go ocalić. Cały szwadron huzarów, chcący przekradać takim samym sposobem tytuń, popadł w ciężką chorobę. Nieraz też ludzie truli się nikotyńą, tak się nazywa jadowity pierwiastek tytoniu, a wiecież, gdzie się szczególnie mieści owa nikotyńa? oto w płynie brunatnym, który się zbiera na dnie fajki. Kropelka takiego soku, wpuszczona w dziób ptaka, zabija go na miejscu. Niedawno pisano w dziennikach o dziecku, które się otruło wydmuchując piórko z fajki ojca. Uczenni obliczyli, że nikotyńa zebrana z całego zapasu tytoniu, wypalonego na świecie w ciągu jednego roku, mogłaby wytruć cały ród ludzki do szczętu. Doprawdy, smutno pomyśleć, że ludzie igrają z taką straszną trucizną; a jednak każdy z palących nałogowo przyznaje, że nim nabrał ochoty do tego, musiał zrazu wstręt przewyciężyć, doznawał nudności i bólu głowy. Pytanie jednak, po co się przewyciężał?

Jeszcze w tej samej rodzinie psiankowatych znajdziemy niejedną truciznę. Lulek, zwany także blekotem, *Hyoscyamus niger*, jest zielskiem pospolitým, które wszędzie napotkać można, na podwórzach, śmieciakach, pod płotami. Łodyga jego gruba i liście niekształtne, w zęby wycinane, kosmate są i lepkie, a kwiat brudno-biały odznacza się misterną siatką żyłek ciemnych. Torebka podłużna, u dołu pękato rozszerzona, otwiera się nakształt słoika. Lulek żółty, trochę mniejszy, nie tak rozgałęziony, ma kwiaty podobne, żółte. Pod względem trujących własności oba mogą iść z sobą w parze, chociaż nie są tak gwałtownie jadowite, jak belladonna.

Gorszym jeszcze od lulka jest bielun czyli dendera lub denderewa, *Datura stramonium*. Ziele to o grubiej łodydze, bardzo rozgałęzione, wygląda zupełnie jak małe drzewko, ale ta łodyga jest wewnątrz próżna. Liście obszerne, wycinane, nie miły mają zapach; kwiaty białe lub blade żółte, o pięciu kłapkach, jak u wszystkich psiankowatych, korona niezmiernie długa i jakby sfałdowana, wraz z wysmukłym kielichem, wygląda nakształt papierowego lejka, wprawionego w fiaszeczkę. Po opadnięciu kwiatu ukazuje się owoc wielkości włoskiego orzecha, zrazu miękkimi, spiczastymi wyrostkami najeżony, wkrótce jednak przy dojrzaniu wyrostki zamieniają się na ostre ciernie. Torebka ta wypełniona jest czarnymi, drobnymi nasionkami. Któreż dziecko, mieszkające na wsi, nie zna tych torebek takich szczególnych, najeżonych, któreż nie bawiło się wysypywaniem z nich nasionek, z ostrożnością jednak, bo zawsze je przestrzegano, że bielun jest okropną trucizną.

Powiadają, że obie te zabójcze rośliny, blekot

i bielun, dopiero w XV lub XVI wieku rozgościły się w Europie. Koczujące bandy cyganów zawsze przenosiły z miejsca na miejsce te jadowite nasiona, które im służyły do różnych sztuk podejrzanych, a nawet i do zbrodni. Tak naprzykład, dodawszy do tabaki proszku z bielunu czyli denderewy, częstowali nią przechodniów, a odurzwszy ich tym sposobem tak, że się bronić nie mogli, odzierali z pieniędzy i kosztowności. Wróżbici, czarnoksiężnicy, podobnych środków używali, ażeby łatwowiernych wprawiać w rodzaj szału, a wtedy naturalnie każdy wierzył wszystkim dziwnym widziadłom, które mu się wyobrażały w tym stanie nieprzytomności. Może być bardzo, że to owi cyganie, wróżbici i czarnoksiężnicy, przenieśli z Azji i rozsieli na ziemi europejskiej te jadowite zioła.

Trucizny roślin psiankowatych wywołują zawsze symptomata przerażające i charakterystyczne. Belladonna sprawia rozszerzenie źrenicy. Spojrzenie takich czarnych, zmienionych oczu, jest błędne i okropne wywiera wrażenie. Wszystkie też te trucizny pobudzają do szaleństwa, do chorobliwego śmiechu, niedarmo blekot nazywają szalejem. Osoby otrute doświadczają także dziwnego i przykrego niezmiernie migotania w oczach. Czasem widzą przed sobą jakieś latające płomyki, to znów owady, ptaszki, których w żaden sposób złapać nie mogą. Wszystkie jednak straszliwe te trucizny, w małych dozach umiejętnie użyte, zamieniają się w zbawienne lekarstwa.

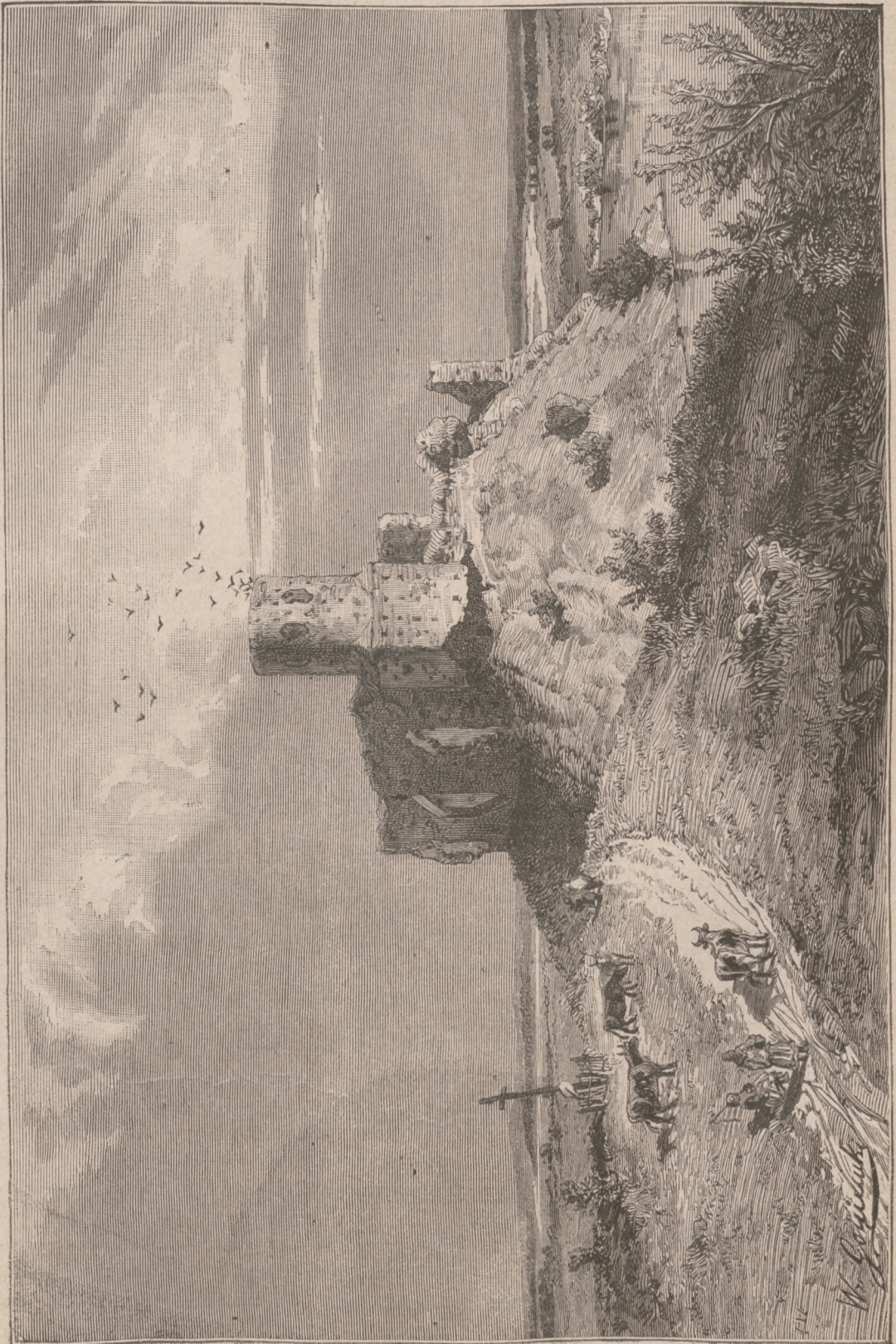
Pomiędzy roślinami, hodowanymi w ogrodach dla pięknych kwiatów, znajdziemy także psiankowate. Te różnobarwne zawieratki czyli petunie, fioletowe, różowe, karmazynowe, czasem pełne i pięknie woniejące, należą do tej rodziny. Znajdziemy w nich wszystkie cechy psiankowatych, trudno nawet zaprzeczyć, że i te rośliny, pomimo ozdobnych i jaskrawych kwiatów, mają w swej postaci coś posępnego, coś troszkę podejzranego, tak, jak wszystkie ich krewniaczki.

M. J. Z.

## Mieszkańcy Ziemi Ognistej.

Gdy siedzimy w dobrze ogrzonym pokoju z wygodnemi, zaspakajającemi nasze potrzeby lub nawykniemi sprzętami, lub gdy przechadzamy się wśród dobrze uprawnych i kwitnących ogrodów, wskazujących, że kraj ten zamieszkuje lud ucywilizowany, który umie spożytkować dary matki przyrody i pracą swą doprowadzić ziemię do coraz bardziej kwitnącego stanu; kiedy i zwierzęta ota





Zwaliska zamku w Kole (str. 567).



czające nas, przywykłe do starań ludzkich, poddają się naszej woli, dopomagając w pracy, i uprzemniając życie; kiedy nareszcie spożywamy smacznie przyrządzone potrawy, i używamy wszystkich wygód ucywilizowanego świata, nie przyjdzie nam nawet na myśl, że na drugiej półkuli ziemia, w całej swjej pierwotnej dzikości, żywi swemi darami istoty, które jakkolwiek ustrojem fizycznym zupełnie zbliżone są do nas, rozwojem jednak umysłowym stoją tak nisko, że zaledwie można je za podobnych nam ludzi uważać. Ludźmi tymi są mieszkańcy Ziemi Ognistej, leżącej na ostatnim krańcu Ameryki południowej.

Ziemia ta mieści się między 50° a 60° szer. geogr., klimat ma taki, jak w południowej Europie. Kraj ten jest miejscami górzysty, niektóre szczyty dosięgają linii śnieżnej; stoki gór, pokryte wiecznie zielonym lasem, a u stóp drzew ogromna ilość najrozmaitszych porostów i mchów, tworzy przepyszny kobierzec, na którym wylegają się wraz ze zwierzętami istoty ludzkie, mieszkańcy tej krainy.

Ziemia Ognista odcięta jest od stałego lądu Ameryki cieśniną Magellana, a otoczona ze wszech stron morzem, ma w sąsiedztwie swojem wieloryby i psy morskie; na lądzie zaś lamy, jelenie, lisy, i dość pięknie upierzone, choć nieliczne ptaki. Lecz rzecz niesłychana, wśród całej tej rzeszy, wśród ogromnie gęstych mchów, niema wcale pełzającego stworzenia, żadnych gadów, nawet żaby się nie napotyka. Ale jacyż są ludzie tej odległej krainy?

Posłuchajmy co o nich opowiada Darwin, uczyony angielski, który w r. 1837, zwiedziwszy tę ziemię, utrzymuje, że ludzie tam podobni są raczej do mieszkańców piekła, aniżeli do istot tego świata, i że zaledwie można uwierzyć, aby na jednej z nami kuli ziemskiej znajdowały się tak mało pod względem umysłowym rozwinięte istoty. Ludzie ci, dość kształtnie zbudowani, mają kolor skóry brudno miedziany, głowę pokrytą czarnymi, gęstymi włosami, spadającymi na twarz po obu stronach, ręce dość długie, lecz kształtne, łydki zaś bardzo cienkie, o małych stopach, bardzo zwinnych do szybkiego biegania.

Do polowania i obrony przeciw dzikim zwierzętom używają strzał i łuków, znanych w ogóle u wszystkich pierwotnych ludów. Ubraniem ich jest kawał skóry, lubią jednak ozdoby, i zawieszają na szyi drobne muszelki, nanizane na sznurki urządzone z wnętrzości rybich, głowę zaś przyodzabiają piórami ptaków.

Kawałem czerwonej tkaniny zjednać sobie można najzupełniej ich przyjaźń; tego też sposobu używał i Darwin, który jednak napróżno się siłił

aby zrozumieć ich język; są to bowiem tylko pojedyncze, urywane dźwięki. Również nie mógł zrozumieć jaki jest ich rząd, i czy go nawet mają, ani jakie są ich pojęcia religijne. Był obecnym przy grzebaniu zmarłych, których chowają zwykle na jakiejś wyniosłości, bez żadnego jednak szczególniejszego obrządku. To tylko zauważył, że są jacyś czarownicy, czy wróżbiarze, których się radzą w sprawach ważniejszych.

Ludzie ci budują sobie szałas z gałęzi, podobne do wigwamów, budowanych zwykle przez Indyan. W pośrodku takiego szałasu jest brudne legowisko, rodzaj gniazda, w którym mieszkańcy chronią się od przykrych wiatrów, nawiedzających dość często ich ziemię.

Ponieważ ziemia ta pokryta jest licznymi wulkanami, wyrzucającymi dym i ogień, od nich wzięła swoje nazwisko: *Feuerland*, Ziemia Ognista; mieszkańcy więc tego zakątka znają ogień, a nawet umieją go wydobywać za pomocą uderzenia żelaza o krzemień. Użytek jednak tego dobroczynnego żywiołu znają tylko tyle, co nasze domowe zwierzęta; to jest wygrzewają się przy ogniu, lecz pożywienie pozerają na surowo. Głównem zaś pożywieniem tych ludzi jest mech, rosnący tam obficie, a mający smak jakiś kleisty i słodkawy, oraz rozmaite korzonki. Gdy morze wyrzuci cielsko nieżywego wieloryba lub psa morskiego, wtedy jest radość i ogromna ucztą pomiędzy mieszkańcami, czatującymi pilnie na taką zdobycz. Rzucają się na nią chciwie, pozerają nadszute nieraz szczątki, bo w ogóle wolą bez pracy mieć mięso, aniżeli starać się o nie. Polują mimo to na zwierzęta lądowe, unikając jednak walki; do takiego polowania zmusza ich potrzeba skór i tłuszczu, którym się obficie nacierają, co sprawia, że ciało ich nie ma nigdy styczności z wodą, jakby z nią pozostawali stanowczo w nieprzyjaźni, a namaszczone dość często tym tłuszczem, przy najmniejszym rozgrzaniu wydaje woń, która z pewnością najmniejszego podobieństwa niema do świeżej i ożywczej woni lasów, a dużo jest przykrzejszą od wyziewów, jakie wydają zaułki i ścieki odległych uliczek pozbawionego kanalizacyi miasteczka.

Trudno tych ludzi nazwać stanowczo ludożercami; nie opuszczają oni swjej ziemi, ażeby walczyć z sąsiednimi plemionami, i chwycić jeńców, aby z nich sobie ucztę wyprawiać. Na przybyszów również nie rzucają się, aby ich rozszarpać; owszem dość przyjaźnie, a raczej obojętnie na nich spoglądają, lecz gdy zimą nie mogą znaleźć dostatecznej ilości mchu i korzeni, gdy zwierzęta kryją się przed ostrością klimatu i rzadko wychodzą na żer i utrudniają im polowanie, lub gdy morze nie wyrzuci na brzeg żadnej padliny, wtedy zabijają



najstarsze kobiety, dzieląc się ich ciałem. Gdy zbraknie starych, młode padają ofiarą; przede wszystkim zaś pożerają tych, co nie mogąc przezwyciężyć głodu i zimna, naturalną śmiercią umierają i dostarczają im pożywienia.

Ludzie ci, nie mający najmniejszego pojęcia o najpierwotniejszej nawet cywilizacji, znajdowali się niedawno w najbardziej ucywilizowanym mieście, to jest w Paryżu. W Sierpniu w r. 1881 przywieziono tam jedenaście tych istot, 4 mężczyzn, 4 kobiety i troje dzieci, których, wraz z całym urzędzeniem, do jakiego przywykli w swój ojczyźnie, umieszczono w ogrodzie aklimatyzacyjnym. Mieli więc tam szafas sklecony z gałęzi, do którego chronili się chętnie, mieli czółno i broń swą pierwotną; to jest rodzaj łuków, które jednak stały tam bezczynnie, będąc dla nich tylko wspomnieniem odległej ojczyzny, a dla publiczności przedmiotem podziwu, z jakim wszyscy w ogóle przypatrywali się tym przybyszom z odalonej krainy. Ludzie ci, przeniesieni ze swej ziemi, zachowali wszystkie jej zwyczaje i nawyki, odrzucając ze wstrętem najmniejszy odbłyś cywilizacji. Nieznosili więc odzienia, darli je, rzucali, gdy próbowano ich przyodziać. Również nie udawały się próby i z pożywieniem. Wszelkie gotowane lub pieczone mięso szkodziło ich zdrowiu, musiano więc ich żywić surowymi rybami, ślimakami lub mięsem surowym, w którego gatunku wcale nie przebierają.

Mimo takiego stanu dzikości i braku wszelkiego umysłowego rozwinięcia, twarze tych ludzi nie są odrażające, owszem, dużo przyjemniejsze i kształtniejsze niż twarze murzynów, oczy zaś nie tak głupowate, jakby się tego można spodziewać po całym sposobie ich życia. Może też, przy zetknięciu się z cywilizowanym światem, roznieciła się w tych istotach isierka inteligencji, która raz rozbudzona i przeszczepiona do ich ziemi ojczystej, stworzy w tym odległym zakątku nowe zupełnie życie i przysporzy użytecznych pracowników drugiej półkuli.

*Z. Morawska.*

## ZWALISKA ZAMKU W KOLE.

Miasto Koło leży na wysepce, z dwóch ramion rzeki Warty utworzonych, w okrąg wodą jest oblane i ztąd zapewne nazwę swą otrzymało. Odległe jest o ośm mil od Kalisza. Wyniesienie Koła na miasto sięga czasów Kazimierza Wielkiego; król ten w r. 1362 nadał Henrykowi, wójtowi z Warty,

przywilej na zamienienie wioski Koła na miasto. Mieszkańcy otrzymali prawa magdeburskie, król założył tu niebawem starostwo, kazał wystawić zamek i miasto murem obronnym otoczyć.

W r. 1433. Władysław Jagiełło złożył na zamku w Kole walną radę, na której uchwalono wojnę z Krzyżakami. Ztąd Wielkopoleanie w roku 1446 wysłali poselstwo do Kazimierza IV, zapraszając go na tron, po zgonie walecznego brata, Władysława Warneńczyka. Za pierwszego najścia Szwedów 1655 roku, Karol Gustaw stanął pod Kołem obozem we 34,000 wojska. Podczas drugiej wojny szwedzkiej r. 1702 obywatele województw wielkopolskich zawarli tu związek na obronę wiary i króla przeciw Karolowi XII.

Za Augusta III sejm koronny darował zamek klasztorowi ks. Bernardynów, którzy mieli go rozebrać i użyć materyałów na odnowienie swojego kościoła. Ale nie mogąc wydobyć cegieł z twardych murów, pozostawiali szczątki zamku prawie nietknięte i dla tego to zwaliska tego starożytnego gmachu dotychczas nie rozsypały się jeszcze całkowicie w gruzy.

## Wspomnienie z podróży.

Przed kilku laty zwiedzałem miasto Monachium. Nie będę tu opisywał wszystkich osobliwości, jakie tam oglądałem, wspaniałych gmachów, cennych zbiorów arcydzieł sztuki i zabytków starożytności; poświęciłem na to całe dwa tygodnie i zdawało mi się, że już nic ciekawego niema do widzenia w bawarskiej stolicy.

W wigilią wyjazdu przechodziłem z rana przez ustronną ulicę, zwaną Staubstrasse; nie wiem, dla czego ją tak przezwano, bo mniej daleko jest na nią kurzu, aniżeli na innych, bardziej uczęszczanych. Minąłem kościółek Ks. Franciszkanów i ujrzałem przed sobą duży, dwupiętrowy budynek, otoczony obszernym, cienistym ogrodem. Wyglądał na dom zwyczajny i oznaczony był Nr. 13-tym, byłbym może poszedł dalej, gdy spojrzawszy na okna pierwszego piętra, obaczyłem w jednym z nich dwie blade twarzyczki młodych chłopaków. Po chwili i w drugim oknie ukazały się aż trzy główki podobne, a na wszystkich tych twarzach malował się niezwykle jakiś wyraz osłabienia, czy cierpienia. Sądziłem, że to musi być szpital dziecinny i zapytałem o to przechodnia. Odpowiedział mi, że w tym domu mieści się zakład dla młodych chłopaków kalek. A ja nic o tym zakładzie nie słyszałem i miałem wyjechać z Mo-



nachium w tém przekonaniu, iż oglądałem już wszystkie przedmioty godne uwagi w tém mieście.

Nie tracąc czasu, zadzwoniłem natychmiast do furtki ogrodowej, tenże sam przechodzień mię upewnił, że będę uprzejmie przyjęty przez zacnego dyrektora zakładu. Furtka otworzyła się, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, nie widać było przy niej nikogo. Wszedłem do ogrodu i tam dopiero wybiegł naprzeciw mnie duży pies czarny, skacząc i pokręcając ogonem, jakgdyby mnie witał gościnnie. Pomyślałem sobie w duszy, że musiał węchem rozpoznać uczciwe moje zamiary i dla tego mi tyle przychylności okazywał. Poszedłem więc śmiało za psem, który mię poprowadził prosto do drzwi wchodowych.

Tu ukazała się staruszka, schludnie ubrana i miłej bardzo powierzchowności, na zapytanie moje odpowiedziała z uprzejmym uśmiechem, że pan dyrektor zawsze rad gościom, którzy chcą zakład zwiedzić i poszła uwiadomić go o mojem przybyciu. Czarny pies pozostał przy mnie, łasząc się i kręcąc ogonem; podejrywałem jednak, że mię zarazem pilnował.

Po chwili nadszedł dyrektor, człowiek mogący mieć około trzydziestu kilku lat. Przyjął mię bardzo grzecznie i prosił, abym przyszedł obejrzyć zakład po południu, gdyż wtenczas chłopcy będą zajęci ręcznymi robotami, z rana zaś odbywają się zwyczajne lekcye, w których nic niema ciekawego. Tymczasem opowiedział mi, przechadzając się ze mną po ogrodzie, jaki jest początek tego zakładu.

W r. 1832 zacny człowiek, nazwiskiem Kurtz, powziął myśl osłodzenia biednym dzieciom, dotkniętym nieuleczonem kalectwem, smutnego ich losu. Nie był on wcale bogaty, ale dobra wola i wytrwałość więcej dokonać mogą niż bogactwa. Trafił więc do serc dobroczynnych i zebrał fundusz dostateczny na utrzymanie kilku młodych kalek. Dał im mieszkanie w własnym swoim domu, i sam się nimi zajmował, następnie na prośby wielu osób rozszerzył nieco zakład i pobierał skromne wynagrodzenie od rodziców, którzy byli w stanie zapłacić za swoje dzieci. Przyjął do pomocy nauczyciela, ten wykładał zwykle szkolne przedmioty, on zaś głównie uczył tych biednych chłopaków różnych ręcznych robót. Zakład Kurtza zwrócił na siebie uwagę powszechną i po latach dwunastu, w r. 1844, rząd otoczył go troskliwą opieką i znacznym funduszem obdarzył. Obecnie zakład ma dyrektora, wyznaczonego od rządu, dwóch kapelanów, katolickiego księdza i pastora protestanckiego, lekarza, kilku nauczycieli i sług kilkoro. Opłata roczna wynosi około 100 rs. na naszą monetę, ale ubogich przyjmują bezpłatnie.

Gdy powróciłem na oznaczoną godzinę, dyre-

ktor poprowadził mię do obszernej sali, gdzie ze trzydziestu chłopców w wieku od lat dziewięciu do piętnastu siedziało około dwóch długich stołów. Dozorca, człowiek w średnim wieku, łagodnej i miłej powierzchowności, chodził od jednego do drugiego, dawał wskazówki i rady. Podłoga usypana była skrawkami tektury i kolorowego papieru. Na stołach ujrzałem porozkładane pudełka, podstawki do zegarków, i rozmaite przedmioty wyklejane. Chłopcy mieli wszyscy na sobie mundur zakładu, spodnie i kamizelkę z sukna brunatnego, bluzę z granatowego płótna ściągniętą paskiem skórzanym.

Każde z tych dzieci było kaleką. Jedne miały przy sobie kule, bez których ruszyć się nie mogły, inne z trudnością poruszały rękami powykryzwianemi, najlepiej jeszcze wyglądali garbusy. Zbliżyłem się do jednego z nich; ogromna jego głowa tonęła pomiędzy wystającemi ramionami, ramiona te długie i cienkie zdawały się zawadzać mu raczej niż pomagać do roboty; miał on przed sobą farby i malował jakieś liście na ozdobnem pudełeczku. Nagle podniósł głowę i spojrzął na dyrektora, który się zbliżył do niego. Tyle w tém wejrzaniu było uczucia i roztropności, że chłopak wydał mi się prawie piękny, chociaż przed chwilę sprawiał na mnie wrażenie potworka.

— Nie uwierzysz pan — rzekł dyrektor — jak te dzieci są szczęśliwe, gdy spostrzegą, że mogą naprawdę zrobić coś pożytecznego, że życie ich ma cel jakiś. Wszyscy uczą się rysunku, a tym sposobem najnieudolniejsze ręce powoli nabywają wprawy i zręczności.

Zbliżyliśmy się do małego chłopczyka, który mógł mieć około dziesięciu lat i z pozoru nie wyglądał wcale na kalekę. Był prosty, dobrze zbudowany, nie miał kul przy sobie, wpatrzony w swoją robotę, poruszał się swobodnie i zręcznie. Wyklejał pudełko tekturowe,

— Patrz pan — rzekł dyrektor — chłopak ten ma tylko po dwa palce u każdej ręki. Gdy przyszedł do zakładu, nie był w stanie jeść bez pomocy; teraz już wcale nieźle rysuje, umie się obchodzić z nożyczkami i nożykiem, a jak pan widzisz, wykleja zgrabne i ozdobne pudełka. Jny chłopiec, który miał tylko po jednym palcu u obu rąk, takiej nabył wprawy w naszym zakładzie w różnych robotach tego rodzaju, że dziś zarabia na własne utrzymanie. Biedne te dzieci musiałyby żyć z jałmużny, lub ginąć w nędzy, gdyby się nie dostały do zakładu, bo nie uwierzysz pan, jakich starań, jakiej cierpliwości potrzeba, aby wzbudzić w takich kalekach odwagę i pokonać wrodzoną im nieudolność. A jednak, gdy raz wezmą się do pracy, znajdują w niej rozkosz prawdziwą.



W rzeczy samej widać to było z oczu i z całej powierzchowności małych robotników, że byli uszczęśliwieni i z największym zapałem pracowali. Trzech małych garbuszków patrzyło z wyrazem tryumfu na przepyszną bombonierkę, którą wspólnymi siłami wykończyli. Było to tak piękne i ozdobne cacko, że w najwykwintniejszej cukierni mogłoby zająć miejsce; miało kształt greckiego budynku, kolumny, gzymsy, naśladowały prawdziwe architektoniczne ozdoby, a wszystko to wykonane było z nadzwyczajną dokładnością według wyborowego wzoru. Dowiedziałem się, że to sam dyrektor rysował te wzory. W szklaną szafkę pokazywano mi także niezmiernie gustowne roboty z drzewa, wyrzynane i rzeźbione z wielką zręcznością i mnóstwo przedmiotów z klejonej tektury (papier maché.) Dyrektor opowiadał mi, że dzieci z największą przyjemnością kleją maski, używane w czasie karnawału. Raz pewne wesołe towarzystwo układało żywe obrazy ze znanego poematu Göthego, *Lis*, (*Reinecke Fuchs*) gdzie występują różne dzikie zwierzęta. Zamówiono maski w zakładzie młodych kalek i chłopcy z największym zapałem i radością powyklejali według rysunku pewnego znakomitego artysty przepyszne głowy lwów, wilków, lisów, dzików, jeleni i innych zwierząt.

Przewodnicy zakładu pamiętają także i o zdrowiu dzieci, powierzonych ich pieczy. Godziny wolne od zajęć spędzają wychowawcy w ogrodzie, mają tam przyrządy gimnastyczne i niektórzy z wielką zręcznością wykonywają najtrudniejsze ćwiczenia. Posilne jedzenie, ochędóstwo, częste kąpiele, przyczynają się także do wzmocnienia ciała tych biedaków. O zdrowiu duszy pamięta kapelan zakładu, który wraz z lekarzem ustawicznie czuwa nad gromadką kalek. Nawet dzieci przyzwyczajone już do próżniactwa i żebrania przez nieroztropność rodziców, zwykle w zakładzie przekształcają się zupełnie i nie mają najmniejszej ochoty powracać do dawnego życia. Nic tak nie uszlachetnia i nie podnosi człowiecka, jak praca i to przekonanie, że może się stać pożytecznym dla siebie i bliźnich.

Gdy nadeszła godzina rekreacji, gromadka dziatwy ruszyła do ogrodu. Z rozewnieniem patrzyłem na ich wesołość; ożywione rozmowy, śmiechy nawet rozlegały się wśród głuchego stukotu kul a pies czarny, poczciwy pies, który mię pierwszy powitał u furtki, czekał u drzwi sali i w podskokach podążył za dziećmi do ogrodu.

Na zakończenie muszę jeszcze opowiedzieć dzieje jednego z dawniejszych wychowawców zakładu, którego także poznałem, gdyż w czasie mojej tam bytności zgłaszał się w jakimś interesie do dyre-

ktora. Matka jego została wdową z kilkorgiem dzieci, bez żadnego sposobu do życia. Syn najstarszy był kaleką, chodził o kulach, ręce jednak miał zdrowe. Przyjęto go do zakładu, wyuczono rysować i malować, a ponieważ zdolności miał niepospolite, więc w piętnastym roku życia mógł już zarabiać, jako malarz dekoracyi teatralnych, wkrótce też stał się podporą matki i młodszego rodzeństwa. Chłopiec ten byłby może wyszedł na żebraka, gdyby się nie dostał do zakładu. Dobroczynność, która zamiast jałmużny daje ludziom sposób zarobienia własną pracą na życie, jest niezawodnie najchwalebniejszą, najgodniejszą uwielbienia.

M. Gr.

## POLOWANIE NA GIRAFY.

PRZYGODY MŁODYCH PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE.

Dalszy ciąg.

Ale po jakimś czasie ścigane zwierzęta i ściągający je wierzchowiec zaczęli przecieżyć coraz widoczniej zwalniać biegu. Koń potem obłany zdawał się już padać nieledwie.

— Co ja robię? — pomyślał nareszcie William — po cóż zabijam konia? Czy po to, aby dłużej popatrzeć na zdobycz, której posiadać żadną miarą nie mogę?..

William wiedział, że szaleństwo popełnia, ale nie mógł się powstrzymać od tej gonitwy; tuż przy nim biegła młoda girafa, przesliczna, precudowna, nieoceniona! Ale jak ją schwycić? Jakkolwiek kilkutygodniowa ledwo i zmęczona okrutnie długą gonitwą, była jednak z pewnością w stanie obronić się takiemu dzielnemu olbrzymowi, jak William. Młodzieniec znajdował się wtedy o milę od rzeki, koń jego zmordowany drżał pod nim. Co czynić? Zatrzymać się, dać chwilę wypocząć koniowi i powrócić do towarzyszy. Tak radził najprostszy rozsądek. Ale myśliwski zapał, rozpacz prawie, pozbawiły Williama rozumu w tej chwili.

Nawpół oszalały, postępował po szalonymu. Nadzieja żywiona przez tyle miesięcy, teraz urzęczywistniona, zniknąć mu miała naraz z przed oczu, William tracił przytomność...

— Tak! — krzyknął nagle w nniesieniu — jeżeli nie mogę schwycić tej młodej girafy, to przynajmniej będę ją gonił, aż ją zapędzę do Graaf-Reinet! nie ujdzie mi!

Wtedy zapuszczając ostrogi w boki upadającego wierzchowca, zmusił go do dobytcia sił osta-



tnich i wyprzedził girafy. One stały, jak się tego spodziewał. Strzelec tedy zwrócił się ku nim, a więc i one, jak tego żądał, zwróciły się, aby pędzić w kierunku przeciwnym, to jest do Graaf-Reinet, zabardzo jeszcze oddalonego wszelako, o czém szalony łowiec nie chciał wiedzieć. Ale, przy gwałtownym owym zwrocie, jedno ze starych popchnęło młodą girafę, ta znękana zachwiała się, i po chwili padła ciężko na ziemię, jak długa.

## LIII.

## Burzliwa noc.

William zeskoczył z konia i nie dał girafie powstać, przytrzymując jęj głowę przy ziemi. Przyszło mu to łatwo, bo długa szyja tego zwierzęcia niewielką posiada siłę muskularną. Sam ciężar ciała młodzieńca wystarczał, aby ją obezwładnić. Tymczasem stare girafy uciekły, a koń paś się spokojnie. William pochwycił więc nareszcie to, za czém gonił tak długo, młodą girafę. Trzymał ją w rękach, a przecież był zarówno oddalonym od swego celu, jak dotąd. Bó czuł, że w chwili, w której przestanie przyciskać do ziemi głowę girafy, zwierzę skoczy na nogi i zniknie.

Ale William za długo czekał, za wiele się spodziewał, za mocno pragnął, aby się teraz wahać.

Drżał na myśl, że mógłby być zmuszonym zabić lub puścić swą zdobycz, ożywiała go nadzieja, że go towarzysze dopędzą; w istocie, dla czegożby nie mieli znaleźć go, idąc za śladem jego konia? W takim razie trudności znikają. Girafa spętana bezpiecznie poszłaby do Graaf-Reinet. Ale czy towarzysze przybędą? o tém William wątpił mimo woli w głębi duszy. Czy przybędą wczas? było jeszcze bardziej wątpliwém. Może poczekają do jutra rana przed udaniem się na poszukiwanie; w takim razie girafa zginęłaby niechybnie, zmordowana własnymi wysiłkami, jakie bezprzestannie czyniła dla odzyskania swobody. Wierzyła ona i szarpała się potężnie, co długo trwając, musiało jęj zaszkodzić.

I William cierpiał, głodny, zmęczony, przedewszystkiém spragniony. A miał przed sobą w perspektywie długie popołudnie i długą noc; te godziny ponure, w których lew afrykański na żer wychodzi... Czyliż on pozostawi w spokoju myśliwego i jego zdobycz?

Koń, dzielny towarzysz wielu niebezpieczeństw, oddalił się i mógł być pożartym także przez dzikie krwiożercze zwierzęta. Jednakże możeby go jeszcze można było odnaleźć. Czyliż więc nie należałoby puścić girafę, poszukać konia i wrócić do towarzyszy, zamiast stracić girafę i konia, i życie w dodatku?

Co czynić? Nigdy jeszcze młody myśliwy nie był w takiej niepewności. Tysiąc sprzecznych myśli płałało się w jego głowie, grube krople potu spływały po twarzy, w gardle paliło go pragnienie. Patrzył na konia oddalającego się i ni knącego, a nie mógł powziąć mimo to żadnego postanowienia. Zrobił on tysiąc pięćset mil drogi w celu ujęcia dwojga zwierząt, z których jedno drgało mu w tęp chwili pod ręką; drugie powinno także być już schwytane, jeżeli jego towarzysze spełnili swą powinność. Ta myśl utrzymywała w nim ducha,

Gdy koń znikł z oczu Williama, słońce zachodziło już za małe wzgórze.

Po gwałtownych wysiłkach, girafa się uspokoiła. Myśliwy nie dał się zwięść tym pozornym spokojem. Zwierzę nie wyrzekało się swobody, przeciwnie, obmyślało ono plan ucieczki. Po kilka razy zrywało się gwałtownie do nowych wysiłków i opadało znowu nieruchomo.

Noc nadeszła i zastała Williama rozciągniętego na tułowiu girafy, z ramionami owiniętymi wkoło jęj szyi. O tęp porze towarzysze jego powinni by już pomyśleć o jego odszukaniu. Może Kongo i Szukaj już szli w tęp chwili za jego śladem... Ta myśl dopomagała myśliwemu wytrwać w uciążliwém położeniu. Wkrótce spostrzegł, że nie będzie czuł samotnie i że znajdują się biesiadnicy chciwi na jego zdobycz. Najpierwsze przyszły hyeny. Ich drwiące chichoty, wywołane zapewne jego leżącą postawą, nie wywarły na nim żadnego wrażenia. Zbyt tchórzliwe, aby odważyły się go napastować, włóczyły się one tylko na okół, wyszczerzając dziwacznie zęby, aby go przestraszyć, czém w innych okolicznościach pobudziłyby go mogły raczej do śmiechu. W coraz grubszych ciemnościach już tylko błyszczące jak żarzące węgle oczy hyen otaczały myśliwca...

Takie nocy ciemne ulubione są lwom. Król lasów postępuje niewidzialny. Wie on o tęp, i rzuca się wtedy na człowieka tak śmiało, jak na antylope.

Gdy William w najlepsze starał się skracać sobie czas nadzieją, głęboki i poważny ryk wstrząsnął powietrzem. Myśliwy znał te dźwięki: to był głos lwa.

Chmury nagromadzone od południa i zachodu w tejp chwili rozdarte zostały potężnymi błyskawicami i potężny głos piorunu z daleka zdawał się odpowiadać rykom lwa.

Burza, i to burza podzwrotnikowa, zbliżała się chyżo. Lew zbliżał się także. Ogromne dwa głosy rozbrzmiewały, co chwila straszniejsze; któreż z dwojga miało przybyć pierwsze, zwierz krwiożerczy, czy burza? Ziemia tętniła już pod



grubym ulewnym deszczem, co niebyłoby zbyt przyjemne dla spragnionego myśliwca, gdyby nie ryki lwa.

William znał doskonale obyczaje i zwyczaje króla zwierząt. Jeden skok i jednoczesny ryk wraz z rozdarciem drgającego ciała i chrzęstem kości, i po wszystkiém; nie łudził się William co do losu, jaki go czekał.

Jakkolwiek młody boer był odważnym i dzielnym, przecież w owęj chwili poznał, co to jest trwoga. Mimo to czekał następstw z właściwą sobie krwią zimną. Uciekać teraz, znaczyło to iść w lwie pazury, bo ryk lwi nie mógł starczyć za kierownika. Zresztą William nie sądził się jeszcze w takiej ostateczności, aby godziło się puścić upragnioną girafę. Deszcz lał potokiem. Błyskawice rozdzierały niebo, rozświecając chwilami okolicę.

Ale po niejakiem czasie deszcz zdawał się uspokajać, jakby wysilony, gdy nagle błysło i piorun straszliwszy od innych z okropnym hukiem rozdarł chmury. Błysk ten prawie oślepił Williama. Ciemność tak głęboka nastąpiła po blasku, jakby myśliwiec istotnie był oślepionym. Ale nie o tém on myślał. W téj chwili blasku, który rozświetlił ziemię i niebo, myśliwiec ujrzał o dziesięć kroków od siebie lwa, przysadzającego się do skoku... Wiedziony instynktem zachowawczym, byłby on teraz uciekł, porzucając girafę. Ale o kilka stóp odeń uderzający piorun obezwładnił go chwilowo, tak moralnie, jak fizycznie.

Najpierwsza jasna myśl, jaka powstała w głowie Williama, był podziw nad tém, że żył jeszcze. Po dłuższej chwili, nie czując jeszcze pazurów i zębów, zagłębiających się w swém ciełe, William zaczął rozmyślać nad tym niepojętym dziwem, aż przyszedł do przekonania, że piorun go ocalił; lew uciekł zapewne przerażony, oślepiony, zgnębiony wpływem elektryczności. W miarę jak uciszała się burza, rozjaśniało się niebo i nareszcie księżyc zajaśniał. Przy tym blasku łagodnym, William bezpiecznie leżał na drgającym ciełe girafy, nie napastowany już od zwierząt: girafa żyła jeszcze i leżała spokojnie. Ale łowiec, nasłuchujący jej ciężkiego i coraz cięższego oddechu, drżał na myśl, iż mogła skonać przed przybyciem jego towarzyszy, któreby pozwoliło uwolnić ją z męczarni, jaką jej mimo chęci zadawał.

#### LIV.

Lepszy łut szczęścia, niż funt rozumu.

Główna gromada giraf uciekała tymczasem dalej wzdłuż wybrzeża rzeki. Hans, Henryk i Arend, ścigając ją z bliska, nie spostrzegli obro-

tu i zniknięcia Williama. Widok szlachetnej zwierzyny i zapach myśliwski unosił trzech młodzieńców prawie tak, jak samego Williama, w téj chwili. Konie wypuszczone, o ile sił miały, pędziły lotem strzały i wkrótce doгнаły girafy.

Wtedy dopiero spostrzeżono nieobecność Williama. Dojrzano go jeszcze pędzącego w odległości mili, ale ta odległość zwiększała się z każdą chwilą. Nie wpływało to na innych, bo każdy zanadto był zajęty własném polowaniem, ażeby miał się troszczyć o cudze.

Wkrótce girafy stanęły na wązkim cyplu, okrążonym z trzech stron rzeką. Ujrawszy tę przeszkodę w biegu, zawróciły się, ale droga napowrót była im już odciętą. Arend pierwszy, za nim inni, odepchnęli je na samo wybrzeże. Do pędzącą je, Arend znalazł się przypadkiem w pobliżu jednej z największych giraf i nie mogąc oprzeć się żądzy upolowania téj wieży zwierzęcej, wymierzył w głowę; trafił koło oka, zwierzę stanęło na tylne nogi, zakreśliło się i padło piersią do ziemi.

Inne girafy, dobiegłszy brzegu, i nie widząc innęj rady, skoczyły w wodę. Rzeka, niewielka lecz bystra, nie była łatwą do przebycia w tém miejscu. Oba brzegi były bardzo wysokie, a po ruchach giraf widoczném było, że stapały po gruncie niezmiernie miękkim. Doszedłszy przeciwległego brzegu, girafy naprózno próbowały wyskoczyć. Wtedy dopiero na widok ich nieużytecznych wysiłów nasi myśliwi pomyśleli, czyby nie udało się pochwycić młodych. Wprzód nie sądzili, aby można było dostać je żywcem. Gdy je gonili, działali jedynie pod wpływem namiętności myśliwskiej. Dopiero ujrawszy girafy szamocące się w silnym prądzie rzeczonym, zrozumieli możliwość dokonania tego dzieła, które było marzeniem Williama.

— Nie mogą wyskoczyć na brzeg, a są dwie młode między niemi, spróbujmy je schwytać — zawołał Arend. Porozumiano się szybko. Henryk, podbiegłszy trochę w górę rzeki, znalazł odpowiedni przesmyk, wszedł w wodę i dostał się na drugi brzeg.

Każdy z myśliwych miał u siodła długi rzemień do pętania koni na popasach. Taki rzemień, z węzłem ściągającym się na jednym końcu, służył także jak *lazzo* amerykańskie; tak go też Henryk użyć zamierzał.

Girafy, znękanę długą gonitwą, stały w gromadce w głębi rzeki, z trudnością wydobywając co chwila nogi z mułu, w którym grzęzły coraz bardziej. Kilka najsilniejszych upierało się koniecznie wyskoczyć, ale żadnej nie przyszło do głowy, że mogą wydostać się z matni, idąc w gó-



rę rzeki lub w dół. Przeszkadzali im też Hans i Arend, umieściwszy się każdy na jednym z najbardziej wysuniętych w głąb rzeki urwisk, powyżej i poniżej jej biegu, tak, że girafy, chodząc tam i napowrót, czoły się za każdym zbliżeniem do grożącego im strzelca.

Młode girafy mało poruszały się nawet, bo cienkie ich nogi grzęzły bardziej jeszcze, niż nogi starych. Okoliczność ta dodawała strzelcom odwagi i ochoty. Rzeka była tak wązka, że użycie *lazzo* nie przedstawiało trudności, czekano sposobnej chwili. Po kilku próbach udało się Henrykowi nareszcie zarzucić węzeł na głowę młodej girafy. Zeskoczywszy z konia, przywiązał natychmiast do drzewa drugi koniec rzemienia, czyniąc ucieczkę zwierzęcia niemożliwą. Jakkolwiek silną jest girafa, zawsze szyję ma za wążkę do wielkich wysiłków, wkrótce też i ta schwyтана stała na bagnistym wybrzeżu, drżąc na swęj uwięzi, wysilona nadzwyczajnem zmęczeniem.

— Próbuście chwycić drugą! — wołał Henryk — prędko! prędko! czy widzicie, ona nie może uciekać, bo ugrzęzła w błocie.

Hans od jednego razu potrafił zarzucić węzeł na szyję drugiej młodej girafy. Życzenia myślnych spełniły się. Zapominając wtedy o reszcie stada, zajęli się uwiązaną swą zdobyczą.

Gdy przestano odstraszać girafy, biedne zwierzęta usiłowały się ratować, i wkrótce istotnie wydostały się na brzeg, wśród tych gwałtownych wysiłków obaliły w wodę i stratowały na śmierć jedną z dwóch młodych, pochwyconych na ramię.

Gdy nareszcie stado uciekło, myślni wydobyli ostrożnie z wody pozostałą przy życiu młodą girafę. Znalazłszy się na suchym gruncie, poczęła ona szarpać się gwałtownie, ale wysilona uspokoiła się znowu.

Trzej myślni byli zachwyceni. Pochwycili jedną młodą girafę i teraz pełni już byli nadziei, że i drugą złapać potrafią.

Ujęcie żywcem giraf, ten szkopał, o który rozbijała się dotąd zrzęczność najsłynniejszych myślników, nie było więc niepodobieństwem. Teraz dopiero oddawano sprawiedliwość Williamowi, gdy cel, do którego dążył tak długo, okazał się możliwym do osiągnięcia. Trudno wypowiedzieć, jak troskliwymi staraniami otoczono uwięzione zwierzę. Przedewszystkiem dano mu na miejscu z godzinę czasu do spoczynku, zanim skierowano się ku obozowisku. Łagodne i lęklive zwierzątko wkrótce poddało się swemu losowi spokojnie.

## LV.

## Przeciwności.

Gdy girafa odpoczęła, udano się w drogę z powrotem do namiotów. Hans i Arend, ująwszy każdy za koniec rzemienia, wiążącego girafę i jadąc cokolwiek naprzód, wiedli ją w ten sposób spokojnie tak, że nie mogła się nawet w bok obrócić. Henryk jechał z tyłu, dla popędzania girafy w razie, gdyby się wzbraniała postępować dalej.

W ten sposób najspokojniej trzej młodzi strzelcy wraz ze swą zdobyczą przybyli po południu do miejsca, z którego puścili się w pogoń za zwierzem. Znaleźli w miejscu, w którym obozowali chwilowo, wszystkie swe skrzynie, paki i sprzęty, leżące na ziemi, ale ani żywego ducha przy nich: Kongo, Facetan, czterej Makalolosy i zwierzęta juczne, wszystko to znikło bez śladu. Nie było i Williama, którego spodziewali się zastać już w namiocie i któremu z przyjemnością mieli przedstawić zdobycz i opowiedzieć szczegóły polowania.

(D. c. n.).

## Łamigłówwka głoskowa.

(Od Natalci O. dla Zosi B.).

l s i k w a  
t r u u a e  
c a n l a n  
d i ą o g i

Z tych liter rozsypanych ułożyć znane przysłowie

## Łamigłówwka kryształowa (W. P.).

1. Litera
2. Głos zwierząt
3. Osoba ukochana
4. Potwory greckie
5. . . . .
6. Prorok
7. Czarodziejka grecka
8. Roślina.
9. Spółgłoska

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą imię mędrca greckiego.

## ROZWIAZANIE DO N-ru 35-go.

## Szarady:

Pc — ko — ra.

## Tajemniczęj gloski:

Głoska t. Marta mata tata rata mirt łata koty taka osty stawy trawa turek rota buty tort warta taca wata tropić pęta bułaty part witać wiotka stary krata.



# WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.



## ROZMÓWKA.

*Andzia.* Żeby to już prędkiej była zima, Mateczko, włożyłabym to śliczne futerko, co mi je Dziadunio darował. Moja Mamo, z jakiego to zwierzątka jest futerko? Takie śliczne, białutkie, z czarnymi ogonkami.

*Mama.* To są gronostaje; zwierzątko to żyje w północnych, zimnych krajach, latem miewa futerko kasztanowate, a na zimę bieleje całe, jak śnieg, tylko ogonek ma czarny.

*Andzia.* Jak to musi zabawnie wyglądać takie białe zwierzątko z czarnym ogonkiem. Ale z kąd Dziadunio to futerko dostał? czy jeździł po nie aż do tych dalekich, zimnych krajów?

*Mama.* Dziadunio kupił futerko gotowe u kupca w Warszawie.

*Andzia.* A więc to kupiec po nie jeździł, Mamuniu?

*Mama.* I kupiec jeździć sam nie potrzebował, posłał zapewne pieniądze, a futra rozmaite przysłali mu koleją.

*Andzia.* Czy wszystkie z tych północnych krajów, Mateczko?

*Mama.* Najwięcej zwierząt o pięknych futrach jest w krajach zimnych. Pan Bóg pamięta o każdym stworzeniu i tam, gdzie silne mrozy bywają, daje On zwierzątkom sierć bardzo gęstą, miękką, puszystą, aby je uchroniła od zimna.

*Andzia.* A pocóż ludzie im te futerka zabierają, Mamuniu, jeżeli to Pan Bóg dla nich je dał naумыślnie?

*Mama.* Pan Bóg pozwolił ludziom używać wszystkiego, co jest na ziemi. Nie wolno nam męczyć zwierząt, krzywdy im wyrządzać, ale wolno je zabijać na pokarm lub odzienie. Wszak i ty lubisz kurczątko na piecyste, kotlecki cielece.

*Andzia.* Prawda, Mamuniu, ale nie lubię o tém myśleć, że te kurczątko i cielątka trzeba wprzód zabijać na to...

*Mama.* Nie możemy jednak obejść się bez tego. Otóż w północnych krajach są ludzie, co nic innego nie robią, tylko polują na zwierzęta, mające ładne futra, jakoto: lisy, niedźwiedzie, sobole, gronostaje, bobry i wiele innych. Gdy zbiorą dużo skór, niosą je do najbliższego miasta i sprzedają kupcom. Ci każą te futra porządnie wyprawiać, aby były czyste i mięciutkie, potem odsyłają je do miast dalszych i tym sposobem dostają się ładne futerka aż do nas.

*Andzia.* Już wiem. To jacyś tacy myśliwi zabili w tych krajach północnych dużo gronostajów, sprzedali kupcom, ci je znów do Warszawy przysłali innym kupcom, a tam je Dziadunio kupił dla mnie.

*Mama.* Niezawodnie. Bardzo się cieszę, że moja córeczka umie się zastanowić i o każdą rzecz się rozpytuje. Dobrze to jest bardzo, gdy mała dziewczynka wie i rozumie, z kąd się wzięła każda część jej ubrania i wszystkie przedmioty, które jej służą do różnych użytków.

## STÓŁ I DREWNO.

B a j k a.

Powiem wam, co słyszałem wczoraj za rzecz [pewną:  
Krzyczał stół nowomodny na niezgrabne dre-  
[wno,



Co koło niego,  
Nie wiem dla czego,  
Leżało.

Zniecierpliwione wreszcie to się odezwało:

— I toż ty mną pogardzasz, to ty mnie się  
[wstydzisz,  
I tém, z czego powstałeś, niewdzięczny się  
[brzydzisz?

Cóż lepszego odemnie jesteś, mój kochany,  
Dla tego się wynosisz, żeś polerowany;  
Wiedz, że czcza powierzchowność głupich tyl-  
[ko ludzi.

Stół na te słowa, z całą swoją pychą,  
Umilkł i stał sobie cicho.  
Lecz iluż takich mamy w świecie ludzi,  
Co się własnych braci wstydzą,  
Co swój ziemi nienawidzą,  
Lub obfitując w dostatki,  
Nie chcą znać Ojca i Matki;  
Wartoby takim zapewne,  
Powiedzieć bajkę o drewnie.

*Ignacy Stopczński.*

## Ze złego w gorsze.

Poszły dzieci w pole i nuż chwycić piękne, barwiste motylki. Na spokojnej dotąd łące stał się taki hałas, krzyk, śmiech i biegania, jak nigdy tam nie bywało. Kwiatki świeżo rozwinięte na wiosnę tuliły się w trawę, jak mogły i smutno wzdychały, gdy dzieci, jak burza rozbiegłszy się na wszystkie strony, deptały piękne kwieciane główki. Ptaszki wystraszone uciekły w chmury, porzucając rozpoczęte gniazdeczka, aby ująć przed dziećmi, i drżały tam wysoko z obawy, czy rozpoczętej budowy gniazdeczek dzieci nie zniszczą, niechcący rozumie się, bo naumyślnie tego przecież się nie robi.

Ale najgorzej było motylkom, bo dzieci po prostu wojnę im wydały, uganiając się za nimi uporczywie. Biedne maleńkie motylki latały w powietrzu przerażone, jakby największa zawierucha niemi miotała, a to ręce i siatki, kapelusze i chustki dziecinne, tak gonili biedaków. Nagle wśród najgłośniejszej zabawy:

— Co to jest? co wy robicie? — surowo zapytał siwy starzec, wychodząc z lasu.

— Chwytamy motyle — odpowiedziały dzieci.

— I po cóż to robicie? — zapytał starzec:

— Dla zabawki — odpowiedziano znowu, ale teraz odpowiedziano już jakoś nieśmiało i spuszczać oczy, i rumieniąc się, i huczna wesołość ustała, bo dzieci same spostrzegły w tej chwili, że dręczyć najmniejsze chociażby stworzonko, i robić sobie z tego zabawkę, jest okrucieństwem.

Starzec popatrzał po zawstydzonych dzieciach, a widząc, że rozumiały niewłaściwość swojej zabawki, nie powiedział już ani słowa więcej i oddalił się napowrót w głąb lasu.

— Kto to może być ten siwy starzec z taką wielką brodą? — pytały dzieci jedno drugiego. W tém rzecze Zosia, która dużo książek czytała i lubiła słuchać bajek stariej Anny niańki:

— Może to jaki rozbójnik, który przyzwyczajwszy się do okrucieństwa na motylkach w dziecinnych swych latach, potem dręcząc coraz większe stworzenia, w końcu strasznym rozbójnikiem został, a teraz w starości pokutuje ciężko w tym lesie za złe czyny swoje bo sumienie mu spokoju nie daje!...

— A może!... — powiedziały dzieci z przestachem, i każde w duszy przyrzekło sobie wystrzegać się choćby najmniejszego złego, aby ze złego nie wpaść w jeszcze gorsze.

## JÓZIA W KRAINIE LALEK,

wyjątki z listów małej podróżniczki.

(Dalszy ciąg).

W jednym z tych cudownych domków złocistych sztukmistrz skopiował wyraźnie jakąś uroczystość dworską, czy przyjęcie urzędników, dygnitarzy japońskich, u cesarza Mikada. Tedy w maluteczkiej sali, widocznej dla patrzących ze wszystkich stron przez porozsuwane ściany, siedzą na piętach w porządku dygnitarze w przepysznych błyszczących sukniach, a siedzą w taki sposób, że z łańców szat tych obszernych każdemu tylko głowa wygląda, rąk ani nóg nie widać, tylko kupkę jedwabiów jaśniejących i głowę na szczycie tej kupki. Taki jest japoński zwyczaj siedzenia. Ale do tejsze sali wchodzi jeszcze dwóch dygnitarzy, i wchodzi oni w dworskich także szatach, a że idą, przeto doskonale można się tym szatom przypatrzyć. I otóż to jest zabawne, że oprócz obszerniej sukni wschodniej, każdy ma jeszcze spodnie o nogawicach dwa razy dłuższych niż nogi i także bardzo szerokich, i tak idzie, mając stopy zupełnie ukryte,



a nogawice wloką się za nim, jak długi tren za dworską damą. Dla naszych nieprzyzwyczajonych oczu, wygląda to zupełnie, jakby ten dygnitarz szedł na kolanach.

I kto wie czy nie z téj właśnie przyczyny przepisano taki strój dworski, aby wyglądało, iż dygnitarze zbliżają się do cesarza na kolanach. Józia tak sobie sama o tém pomyślała, bo czytała już o wielkiej czci, jaką wszędzie na wschodzie otoczona jest i dziś, a jeszcze bardziej bywała dawniej, osoba monarchy. Cześć ta była tak wielką, że poddanym nie godziło się nawet oblicza swego monarchy oglądać. To téż i w tém cacku japońskim, w téj sali złocistej cesarskiej, cesarza nie było widać, tylko w końcu sali stało kunstowne wzniesienie z błękitnawo srebrzystej masy perłowej, a na to wzniesienie zapuszczona była od góry złota zasłona, tak, że tylko odrobinę od wzniesienia nie dostawało; i otóż przez tę szparę między zasłoną i wzniesieniem ukazywał się ogromny stos jedwabów złocistych, usadowionych na owém wzniesieniu... Więcej nie widać było nic, ale wszyscy wiedzieli, że wśród tych zwojów siedzi tam osoba cesarska na piętach, a ponad temi zwojami sterczy głowa cesarska, ale to już poza złotą zasłoną i wcale tego nie było widać.

W taki sposób odbywają się przyjęcia dworskie japońskie, i taka scena odtworzona była z cudną drobiazgową ścisłością w cacku, na które Józia patrzała, nie oddychając prawie z podziwu. Utrzymuje ona, że nigdy w życiu nie zapomni tego, co w owym dniu widziała. Pośród złotych i z perłowej masy zbudowanych cesarskich domeczków i drzewek, znajdowały się stawy maleńkie i strumyki, a w nich płynęła nieustannie prawdziwa, czysta jak kryształ woda, a po niej pływały maluteczkie kaczkuchy, wszystko tak urządzone, że ciągle w nieustannym ruchu krążyło po kwiecistym lesie.

Józia powiada, że po prostu nie mogła oczu od tych czarów oderwać, chociaż rodzice wołali, i ona sama czuła, że raz przecież trzeba przestać patrzeć. Państwo Poncetowie wołali, że czasu nie starczy na oglądanie innych rzeczy. Matylda nie mówiła nic, bo choć ze sto razy zwiedzała już sklepy, przecież za każdym razem prawie tak samo jakby zmysły traciła, patrząc na te cuda zręczności i dowcipu. Józia mówi, że to taka rzecz dziwna była, im dłużej się patrzyło, tém więcej nowych odkrywało się dziwów.

I tak np. po długim przypatrywaniu się

dopiero Józia dostrzegła, że przez strumyki i stawki były tam w tym japońskim pałacu rzucone mostki kwieciste, zrobione z powyginanych gałęzi, kwiatem okrytych. Zupełnie takież sam ogródek miała lalka Matyldy. A przez te mostki, i precz przez las naokoło pomiędzy kwieciami i budynkami, szła sobie swobodnie gromadka maleńkich dam japońskich!... Tak! widziała to Józia na własne oczy! Były to oczywiście maleńkie automaty, a przedstawiały zapewne cesarzową japońską i jej damy służebne. Osóbki te krążyły, błędząc niby swobodnie po lasku tak samo, jak woda i kaczkuchy na niej.

Oczywiście wszystko to krążyło, wracając zawsze z powrotem na te same miejsca, bo było nakręcone do ruchu, jak zegar, ale wyglądało, jak czary. Damy japońskie tak zgrabnie unosiły ogromne swe treny złociste, i tak doskonale były wyrobione i śliczne miały twarzyczki, że po prostu aż przestrach narzeczcie zdejmował, patrząc na ten drobiazgi, jakby żywy, a oczarowane oczy dziewczątek były do nich przykute.

A w tém nagle z poza lakowej szafeczki pachnącej wyszedł mały zgrabny Japończyk, poszedł prosto do Józii, ukłonił jej się grzecznie, pokazując swój śpiczasty kapelusz, w którym nic nie było, a potem Japończyk dmuchnął w ten kapelusz i z kapelusza wyfrunęła gromadka różnobarwnych świegocących ptaszek, obsiadając Józii głowę i ręce. Dziewczynka cofnęła się zdumiona tą napaścią i wtedy dopiero zdołała oderwać oczy od cesarskiego pałacu.

— No no! teraz, kiedy tamten czar już przerwany, to może zaczniemy nareszcie oglądać inne dziwy — mówił śmiejąc się pan Poncet i wszyscy śmieli się naokoło Józii, a kupiec stał przed nią i grzecznie kłaniając się przeproszał, że jej przeszkodził oglądać pałac cesarski, i zapewniał, że może codziennie go oglądać, ale teraz rodzice życzą sobie obaczyć coś więcej. Ale mały Japończyk stał także i wachlował się kapeluszem, do którego skryły się ptaszki i umilkły.

— Niechże on teraz do mnie przyjdzie! — powiedziała pani Poncet. I zaraz kupiec przystąpił do małego Japończyka, pokręcił go za ucho w taki sposób, jakby zegar kluczem nakręcał, odstąpił, obróciwszy go ku pani Poncet, i w téj chwili mały Japończyk postąpił ku pani Poncet, ukłonił się grzecznie, pokazując śpiczasty kapelusz, w którym nic nie było, a potem dmuchnął weń, a z kapelusza wy-



leciały znów świegocące ptaszki prosto na panią Poncet, i po chwili skryły się znów do kapelusza, który miał dno podwójne.

I dopiero wtedy po namyśle odgadła Józia, że mały Japończyk był znowu automatem, zarówno, jak i jego ptaszki. Tymczasem panie oglądały szafeczki i szkatułki pachnące, błyszczące i przezroczyście, które były prawdziwymi klejnotami i równie drogiemi, ale miały służyć dopiero bogatym paniom na schowanie do klejnotów i sprzączeków drogowych.

Gdy tak oglądano, tymczasem weszła do sklepu maleńka dziewczynka japońska w króciutkiej, ciemnej spodniczce i długiej, otwartej z przodu sukni, którą zapinała na sobie dopiero. Przytém zapinaniu Józia ze zdumieniem spostrzegła, że ani białego kaftaniczka, ani żadnej bielizny nawet nie było już pod tą suknią... i powiedziała o tém swoim spostrzeżeniu Matyldzie.

— Och, ja o tém dawno wiem — odrzecze Matylda — że Japończycy wcale bielizny nie znają, ale mimo to nawet są bardzo dbali o porządek i kąpią się ciągle w tych swoich wannach, o których wiesz, nawet w mrozy i śnieg.

— Co? alboż w Japonii bywają mrozy i śnieg? — krzyknęła Józia. A na to rzecze Matylda:

— O! śnieg to już ja tu nawet widziałam! Ale to dziwne, że śnieg i zimno są tutaj bardzo krótkotrwałe i wcale niedokuczliwe, tak, że ja sama własnymi rękami zrywałam już kwitnące kamelie, otrząsając je ze śniegu. Ojciec mówi, że przyczyną tego jest wulkaniczny grunt, ogrzewany podziemnymi ogniami, co sprawia, że powietrze jest tu zawsze ogrzane, jak w jakiejś cieplarni kwiatowej.

Gdy panienki tak ze sobą rozmawiały, oglądały przytém jednocześnie lalki prześliczne, przystrojone w prawdziwe klejnoty, zaszniczki, bransolety, naszyjniki, w które przystroić się może panienka, której lalka taka podarowaną będzie, tylko oczywiście bransolety lalki posłuży panience za pierścionek, a przepaska za bransoletę. Były tam i wulkany, wybuchające sztucznymi i nieszkodliwymi ogniami za przyciśnięciem sprężyny.

— Oto Fuzi-Yhama! — zawołała Józia, spojrzawszy na jedną taką sztuczną, kwiatami obsypaną górę, wybuchającą udanym ogniem, bo widziała już tyle razy na wszystkie strony otwarzany ten najpotężniejszy

z japońskich wulkanów, że teraz go poznała w misterném naśladowaniu.

W tém tętent dał się słyszeć i z pomiędzy stosów zabawek wypadło pędem kilka wózków, zaprzężonych w biegaczy, pędzących szybko; w wózkach siedziały strojne Japonki i dzieci, Józia odskoczyła a oni pędzili tak w kółko na środku sklepu, dopóki mechanizm starczył.

(D. c. n.).

### Zagadka.

Co to za stworzenie, które mieszka w morzu, Nazwane jak statek, co po wód przestworzu Pływał sam jedyny, lecz wcale nie pusty, Gdy się wód wszelakich rozwarły upusty?

### Łamigłówka kryształowa (J. K.).

1. Spółgłoska
2. Kwiat
3. Sprzęt domowy
4. . . . .
5. Produkt spożywczy
6. Część twarzy
7. Samogłoska

Rząd środkowy i środkowa litera utworzy nazwisko sławnego malarza.

Rozwiązania do N-ru 35-go:

### Łamigłówki zgłoskowej:

Chodec  
Horacy  
Ostróg  
Dom  
Kiu-Siu  
Indyanin  
Euftrat  
Władysław  
Ida  
Cesarz  
Zatoka.

Chodkiewicz—Zygmunt Waza.

### Łamigłówki kryształowej.

			D			
		C	Ł	O		
	B	Z	U	R	A	
D	Ł	U	G	O	S	Z
	K	R	O	W	A	
		O	S	A		
			Z			